GOSPODARKA NARODOWA

NIEZALEŻNY DWUTYGODNIK GOSPODARCZY

WARSZAWA, 15 MARCA 1935 R.

NR. 6 ROK V

CENA NUMERU ZŁ. 0.90 PRENUMERATA KWARTALNA 4. ZŁ. GR. 50

GOSPODARKA NARODOWA

NIEZALEŻNY DWUTYGODNIK GOSPODARCZY

Nr. 6

1935 R.

15 — III

KOMITET REDAKCYJNY

CZESŁAW BOBROWSKI redaktor, HENRYK GRENIEWSKI, WACŁAW JASTRZĘBOWSKI, MICHAŁ KACZOROWSKI, BOHDAN ŁĄCZKOWSKI, TADEUSZ ŁYCHOWSKI, STEFAN MEYER, JÓZEF PONIATOWSKI, KAZIMIERZ SOKOŁOWSKI, KAZIMIERZ STUDENTOWICZ ZYGMUNT SZEMPLIŃSKI

ZYGMUNT SZEMPLIŃSKI

PROCESY DEMOGRAFICZNE A SYTUACJA GOSPODARCZA POLSKI

Wadliwy podział dochodu społecznego w dobie obecnej grozi zahamowaniem przyrostu naturalnego, pomimo iż objektywne możliwości produkcyjne polskiego gospodarstwa narodowego wcale tego nie wymagają.

Przekonanie, że duży przyrost ludności jest podstawowym elementem polskiej struktury gospodarczej i najpotężniejszym dynamicznym czynnikiem w procesie ewolucji gospodarczej Polski stało się dziś już niemal powszechne, i figuruje coraz częściej jako motyw lub przynajmniej motywacja poszczególnych posunięć naszej polityki gospodarczej. Jest to bardzo wiele, jeśli się weźmie pod uwagę notoryczny wstręt w naszej polityce gospodarczej do wszelkich nietylko teoretycznych ale wogóle apriorycznych założeń. Siłą reakcji, bo wiem przeciw nadmiernemu teoretyzowaniu w pierwszym okresie niepodległości, przeszliśmy do czystego praktycyzmu, do lekceważenia imponderabilijów, do traktowania wielu problemów gospodarczych, nie dających się ująć buchalteryjnie, jako zagadnień niegodnych ludzi myślących trzeźwo i konkretnie.

Naturalny przyrost ludności w Polsce jest ujęty statystycznie, chociaż niezbyt szczegółowo. Problematyka zagadnień gospodarczych, wynikających z dużego przyrostu ludności jest przez teorję ekonomiczną szczegółowo opracowana. Natomiast jeśli chodzi o stosunki polskie, to zagadnienia gospodarcze stawiane przez procesy demograficzne, aczkolwiek są uświadomione, to nie są dostatecznie opracowane. Zdajemy sobie doskonale sprawę ze współzależności wielu procesów gospodarczych z procesami demograficznemi, ale nie znamy stopnia tej współzależności. Wiążemy poszczególne fragmenty naszego życia gospodarczego z procesami demograficznemi, np. czyni się to już powszechnie w odniesieniu do sytuacji gospodarczej wsi. Najczęściej czyni się to w związku z zagadnieniami osobiście interesującemi danego publicystę, polityka czy naukowca. W artykule niniejszym chcę pokusić się o śmiałą próbę postawienia zagadnienia związku procesów demograficznych z procesami gospodarczemi w sposób bardziej syntetyczny. Nazywam tę próbę śmiałą, gdyż nie rozporządzam dostatecznym materjałem cyfrowym, którego zdobycie jest zadaniem przyszłości.

Zadanie gospodarcze stawiane przez przyrost naturalny streszcza się w bardzo prostej formule: conajmniej proporcjonalny przyrost produkcji. Z tego wynika już dalsza konsekwencja — taki przyrost kapitałów, by umożliwił konieczny wzrost produkcji dóbr gospodarczych. O proporcjonalności w tym zakresie trudno mówić, gdyż mamy do czynienia z odmiennemi tendencjami w ewolucji wydajności kapitałów w przemyśle i wydajności ziemi, zarówno w rolnictwie jak i górnictwie (prawo zmniejszającego się przychodu i wyczerpywanie zapasów kopalin, przynajmniej najdogodniejszych dla eksploatacji). Przy ocenie współmierności rozwoju gospodarczego i wzrostu ludności nie wy-

starczy operować jedynie pojęciem dochodu społecznego w jednostkach pieniężnych. Podstawowem kryterjum należytej oceny postępu lub pogorszenia się sytuacji gospodarczej w związku z przyrostem ludności musi być również wzrost lub spadek produkcji wszelkich dóbr gospodarczych w wyrażeniu naturalnem, osobno wytwórczych i osobno spożywczych, w przeliczeniu na głowę ludności.

Widoczne konsekwencje przyrostu ludności, szybszego od wzrostu możliwości wytwórczych w istniejących warunkach, to wzrost bezrobocia w mieście i pauperyzacja wsi. Objawy te są dziś bardzo jaskrawe, ale jaskrawość tę zawdzięczamy w znacznym stopniu światowemu kryzysowi gospodarczemu. Ponieważ celem, jaki mi przyświeca jest odpowiedź na pytanie, czy Polska traktowana jako jednolity organizm gospodarczy posiada możliwości zapewnienia egzystencji, conajmniej bez pogorszenia warunków tej egzystencji, dla wzrastającej ludności, będę rozumował w oderwaniu od kryzysu. O możliwościach wytwórczych decyduje przyroda, praca i kapitał. W ocenie tych czynników oprę się nie na teoretycznych obliczeniach ich produktywności, ale na rezultatach już osiągniętych.

Aczkolwiek czerpiemy dziś azot z powietrza a wiatraki są wynalazkiem bardzo dawnym, to nie popełnimy wielkiej nieścisłości twierdząc, iż tym czynnikiem wytwórczym, który rozumiemy pod słowem przyroda jest przedewszystkiem ziemia, jej wydajność i zawarte w niej bogactwa kopalniane. Ziemia jest podstawą gospodarowania dla 70% naszej ludności, a zapas jej jest ograniczony. Konsekwencją dużego przyrostu ludności, większego na wsi niż w mieście, jest rozdrobnienie warsztatów pracy rolniczej. Ponieważ część zapasu ziemi — wielka własność rolna — stosunkowo mało poddaje się rozdrobnieniu w miarę przyrostu ludności, to rozdrobnienie małej i średniej własności postępuje szybciej, niż całego zapasu ziemi, a zmniejszanie się przeciętnych rozmiarów chłopskiego gospodarstwa jest szybsze niżby to wynikało z wysokości stopy przyrostu naturalnego. W rezultacie procesu rozdrobnienia gospodarstw rolniczych mamy zjawisko znane pod nazwą przeludnienia wsi Ilość ludzi zatrudnionych w rolnictwie jest większa, niżby to było potrzebne dla uprawy ziemi i wygospodarowania ilości płodów rolnych dostatecznej dla wykarmienia całej ludności kraju, a nawet zapewniającej nadwyżki eksportowe. Stąd wynika nasycenie rolnictwa czynnikiem pracy, duży udział konsumcji własnej a mały udział produkcji rynkowej oraz mały dochód netto. Nie mniej jednak ludność rolnicza ma jakiś punkt zaczepienia, jakiś udział w dochodzie społecznym, choćby na poziomie głodowym.

Gorzej jest w przemyśle. Bo chociaż w przemyśle odbywa się przyrost kapitału, abstrahujmy narazie od pytania — czy dostateczny — to równocześnie występuje zjawisko racjonalizacji pracy, powodujące zmniejszenie roli pracy w procesie produkcji. A zatem występują współrzędnie rozbieżne tendencje wzrostu możliwości produkcyjnych i względnego lub nawet bezwzględnego spadku liczby ludzi mających w dzisiejszym ustroju formalną legitymację do udziału w dochodzie społecznym, udziału w konsumcji dóbr. A ogólna liczba ludności wciąż wzrasta. Kryzys pogłębił rozbieżność tych tendencyj, a rozpowszechniające się w światowej polityce gospodarczej prądy autarkiczne spowodowały zanik emigracji i dopływu kapitałów z zagranicy. W rezultacie tych procesów gospodarczych mamy wzrost bezrobocia, to znaczy wzrost liczby ludzi, których udział w dochodzie społecznym nie jest uzasadniony z czysto gospodarczego punktu widzenia to znaczy ich udziałem w pracy, przyczem niema czysto gospodarczej celowości ich udziału w pracy. Pozostaje zatem uzasadnienie socjalne lub neo-nacjonalistyczne, bo jakieś uzasadnienie przecież być musi, gdyż skazanie tych ludzi na wymarcie nie może być uzasadnione. Nie mówię o uzasadnieniu moralnem, gdyż może ono służyć za podstawę do organizacji sił celem czynnego żądania.

Przeludnienie wsi i bezrobocie nie wyczerpuje skutków dużego przyrostu naturalnego. Przyrost ten powoduje pewne zjawiska, wymagające większego wzrostu kapitałów, niżby to wynikało z samej tylko konieczności zapewnienia wszystkim członkom społeczeństwa miejsca przy warsztatach pracy, jako tytułu do udziału w dochodzie społecznym. Chodzi o to, że zgęszczenie zaludnienia, znajdujące wyraz między innemi i w urbanizacji, powoduje komplikowanie się życia, skąd wypływa konieczność rozrostu aparatu regulowania tego życia, oraz wytwarza taką sytuację, że wiele potrzeb, które przy rzadkiem zaludnieniu mogą być zaspakajane indywidualnie, muszą być teraz zaspokajane zbiorowo. Indywidualnie — to znaczy przedewszystkiem nakładem pracy; zbiorowo — to znaczy nakładem kapitału. Mam na myśli komunikację, bezpieczeństwo publiczne, szkolnictwo, wodociągi, kanalizację i higjenę publiczną. Wydaje się oczywistem bez dowodów cyfrowych, że narastanie potrzeb, które muszą być zaspakajane zbiorowo odbywa się szybciej niż przyrost naturalny.

Nie mamy takich obliczeń przyrostu kapitału, na których moglibyśmy się oprzeć w rozważaniach, czy przyrost ten jest współmierny z przyrostem naturalnym. Dane o wkładach w instytucjach kredytowych nie są dostateczną dla tego celu podstawą, albowiem my musimy ocenić wzrost kapitałów wytwórczych, wzrost możliwości produkowania dóbr niezbędnych dla utrzymywania egzystencji wzrastającej ludności. Jedyną zatem drogą jest przegląd cyfr faktycznej wytwórczości dóbr przez polskie gospodarstwo narodowe.

Ponieważ kryzys nie jest objawem fizycznej niemożności produkcji dóbr z braku tworzyw, narzędzi, sił czy zdolności do pracy to oprę swoje wnioskowania na ewolucji naszej wytwórczości przemysłowej przed rokiem 1929.

Jest rzeczą niezaprzeczalną, że produkcja przemysłowa w tym okresie wzrastała i fragmentaryczne dane wykazują wzrost konsumcji niektórych artykułów przemysłowych na głowę. Pomimo wzrostu urbanizacji liczba osób przypadających na jedno mieszkanie w miastach w okresie lat

1921 — 1931 zmalała: zmalała również i na wsi. Przeciętna długość ludzkiego życia wzrosła o 3 lat. Liczba zatrudnionych w przemyśle, handlu i komunikacji w roku 1931,a więc już roku kryzysowym, była o 430 tys. większa niż w roku 1927. Jeśli zważymy, że na każdego zatrudnionego przypada średnio pewna ilość osób na utrzymaniu to możemy twierdzić, iż proces uprzemysłowienia w tym okresie pochłonął przeszło miljon ludności z 1.900 tys. przyrostu naturalnego w tymże czasie. Emigracja pochłonęła 300 tys., reszta została na wsi, gdzie powstało z parcelacji 33 tys. nowych gospodarstw i upełnorolniono 176 tys. dawnych. Oczywiście, że to się działo w okresie dobrej konjunktury. Lecz ten argument nie jest w stanie obalić wniosku, iż polskie gospodarstwo narodowe wykazało objektywną przyrodniczą istniejącą zdolność do powiększania produkcji dóbr, mniej więcej dostateczną w stosunku do przyrostu naturalnego. Istniejące niedociągnięcia dałyby się łatwo wytłumaczyć błędami polityki inwestycyjnej. Jeśli uwzględnimy, że nawet w okresie kryzysu powstawały nadal nowe gałęzie wytwórczości, to mamy pełne prawo do optymistycznego wniosku iż posiadamy dostateczną ilość sił wytwórczych dla pomnażania kapitału i powiększania wytwórczości przemysłowej w tempie nie ustępującem stopie przyrostu naturalnego. Przechodząc do oceny możliwości rozwojowych produkcji rolnej spotykamy cyfry o takiej dynamice, że nie chce się nawet w pełni wierzyć Urzędowi Statystycznemu. Według bowiem danych G. U. S. przeciętna powierzchnia pięciu głównych ziemiopłodów zajmujących 70% ogółu powierzchni ornej i w pięcioleciu 1929/33 wzrosła w porównaniu z pięcioleciem 1924/28 o 9%, a zbiory tychże ziemiopłodów w tymże okresie czasu wzrosły o 25%, podczas gdy przeciętna liczba ludności w ostatnim pięcioleciu była o ca 8% większa niż w poprzednim. Wiemy, że G. U. S. może w szacunkach zbiorów popełnić znaczne błędy, ale chyba nie tak znaczne by z powyższych cyfr nie uzyskać wniosku że nasze rolnictwo stać w zupełności na powiększanie produkcji artykułów spożywczych w tempie nawet szybszem niż przyrost ludności. To samo mówią dane o wzroście pogłowia bydła, który to wzrost trwał aż do 1931, potem rozpoczął się spadek ze względów rynkowych. Dodając powyższe do wyników rozważań nad zagadnieniem możliwości wzrostu produkcji przemysłowej twierdzę z głębokiem przekonaniem, że mowy być nie może o tem, by Polska była zdecydowanie przeludniona, a polski obszar gospodarczy nie posiadał dostatecznych, przyrodniczych możliwości zapewnienia egzystencji wzrastającej ludności. Ma dane nawet na to, by tę egzystencję dźwignąć na wyższy poziom. Na jakąkolwiek krytykę zasługuje okres przedkryzysowy, a zasługuje przedewszystkiem na zarzut, że nie uwzględniał zagadnienia przyrostu naturalnego jako zadania polityczno gospodarczego o długiej fali, to jednak nie można powiedzieć, by procesy gospodarcze w tym okresie hamowały w sposób zdecydowany i wyraźnie groźny procesy demograficzne.

Sytuacja dzisiejsza jest zupełnie różna. Według obliczeń pp. Landaua i Kaleckiego w pracach Instytutu Konjunktur realny dochód narodowy przechodzący przez rynek, spadł w roku 1933 o 25% w porównaniu z rokiem 1929. Jeśli zaś chodzi o dochód rolnictwa to spadł on o 46%. Porównujemy tu siłę nabywczą pieniężnego dochodu w wymienionych latach. Ale przecież dochód sensu stricto to jest suma dóbr gospodarczych, produktów pracy posiadających zdolność zaspokajania ludzkich potrzeb. *Otóż według obliczeń G. U. S. suma tych dóbr, wyprodukowanych przez rolnictwo wzrosła* i to nawet w liczeniu na głowę ludności. Cały kryzysowy spadek produkcji materjalnego dochodu społecznego, wyrażonego w ilości dóbr gospodarczych przypada na przemysł, podczas gdy gros skutków zmniejszenia się ilości dóbr ponosi rolnictwo, które do tego zmniejszenia się w niczem się nie przyczyniło. Przemysł utrzymał swój udział w dochodzie społecznym w stopniu o wiele większym, niż to jest uzasadnione jego udziałem w produkcji dochodu. Piszę przemysł, a nie jak zwykle się mówi — miasto — ponieważ udział w dochodzie robotników jako grupy spadł prawie w tym samym stopniu co udział wsi. Najbardziej wprawdzie okazał się uprzywilejowany aparat państwowy, którego realny udział w dochodzie wzrósł nietylko stosunkowo ale nawet bezwzględnie. Nie mam zamiaru tgo zjawiska analizować na tem miejscu szerzej, gdyż odbiegałoby to nieco od tematu, dla uniknięcia jednak zarzutu demagogji choćby ze strony własnego sumienia zaznaczę, że oprócz przyczyn podlegających krytyce działały tu naturalne i uzasadnione tendencje rozrostu potrzeb zbiorowych.

Ze wszystkiego co powiedziałem wyżej wynika że upośledzenie wsi, jej ciężka sytuacja materjalna, znane dziś szeroko dzięki publicystyce i literaturze (składam tu ukłon pod adresem pisarzy, których bardziej interesują ludzie obdarci niż obnażeni), jest skutkiem czarnej magji podziału dochodu społecznego (krajania bochenka) odbywającej się pod zasłoną przemiany dochodu rzeczowego na dochód pieniężny. Mechanizm jaki do tego celu służy to mechanizm cen, którym się posługują zrzeszenia kapitału przemysłowego.

Sytuacja do jakiej doszliśmy dzięki obecnym zasadom podziału dochodu społecznego jest taka, że usuwa narazie na drugi plan długofalowe zagadnienie gospodarczych konsekwencyj procesów demograficznych a wysuwa aktualne i wprost groźne zagadnienia demograficznych konsekwencyj, procesów gospodarczych. Polityka kartelowa bezsprzecznie zapewnia kartelom otrzymanie sporego dochodu netto ale powoduje ogólne zmniejszenie społecznego dochodu, zarówno brutto jak i netto, gdyż kapitalizacja właściwa materjalizuje się w postaci pewnych dóbr i nie może jej być wtedy, gdy się ogranicza produkcję dóbr. Co zaś się tyczy materjalnego dochodu brutto to nie powinien on schodzić poniżej pewnego poziomu na głowę ludności. A mam wrażenie, że zeszedł.

Wywody moje opierają się na założeniu, że Polska powinna i musi utrzymać wysoki poziom przy-

rostu naturalnego. Nakazuje to nam nasza sytuacja geo-polityczna. Nasza sytuacja w świecie, nasza siła moc przekonywująca naszych argumentów na arenie światowej w lwiej części zależy od naszej dynamiki ludnościowej. Wytworzenie i zachowanie warunków możności dużego przyrostu naturalnego jest taką samą potrzebą narodowo państwową jak utrzymanie armji. Bez tego wszystkiego zostaniemy wśród serdecznej przyjaźni zjedzeni. Dlatego sądzę, że do podziału dochodu społecznego muszą być wniesione korektury, któreby usunęły groźbe zahamowania przyrostu naturalnego obniżenia zdrowotności i biologicznej żywotności. Dla osiągnięcia tego celu nie należy przebierać w środkach a w szczególności nie szanować różnych tabu.

TADEUSZ ŁYCHOWSKI

KONIECZNE „KROPKI NAD I"

Musimy się przyznać, iż w pierwotnym naszym planie leżało napisanie innego artykułu niż ten, jaki drukujemy poniżej. Mieliśmy zamiar, mianowicie, przejść „sine ira et studio" wszystkie te możliwości naszej polityki gospodarczej, o jakich vox populi mówi dziś coraz częściej w związku z sytuacją, w jakiej się znajdujemy. Okazało się jednak, iż przeceniliśmy nasze siły. Okazało się, iż *absolutnie objektywnie* o zasadniczych sprawach polityki gospodarczej własnego kraju mówić nie sposób. I dlatego dajemy dziś uwagi, których za objektywne uważać nie można, ale które mimo swego najogólniejszego i, być może, aż nazbyt syntetycznego ujęcia mają pretensję do „postawienia kropek nad i" w tych wszystkich niedomówieniach, jakie z okazji „wielkiej dyskusji" w społeczeństwie słyszy się na każdym kroku. Każda z tez, przedstawonych poniżej, nadawałaby się do rozwinięcia bardziej szczegółowego w specjalnych rozważaniach. Być może nawet, iż trzeba będzie prędzej czy później zająć się i tą sprawą.

* * *

Formalnym punktem wyjścia możemy uczynić dyskusję budżetową, w której ujawniły się poglądy, nurtujące już od pewnego czasu pewne odłamy naszego społeczeństwa, nurtujące je zresztą świadomie zarówno jak i nieświadomie. Ten formalny punkt wyjścia jest jednak w dyskusji budżetowej zaznaczony tak nieśmiało i z takiemi zastrzeżeniami, iż mówićby raczej należało nie o tem, co było *powiedziane* w trakcie dyskusji na Wiejskiej, ale raczej o tem, co podczas tej dyskusji *myśleli* — i ci, którzy dyskusję przeprowadzali, i ci, którzy wyniki jej — poza gmachem sejmowym — odczytywali. A myśl ta (zaznaczmy odrazu raz jeszcze, iż mówimy najogólniejszemi syntezami) brzmiećby mogła w ten sposób: czy możliwe jest w dalszym ciągu prowadzenie tej polityki gospodarczej, jaką Polska prowadzi od początku kryzysu, a — jeśli nie — to jaką, mianowicie, politykę prowadzićby obecnie należało?

Nie jest rzeczą przypadku, iż słowa, które po wszystkich potrzebnych filtrach i omówieniach wydają się odpowiadać tej właśnie myśli, padły właśnie w dyskusji sejmowej. Albowiem cechą zasadnicza tej myśli — i myśli jej podobnych — jest to, iż idą one od „dołu". To nie rozważania ekonomistów „ex cathedra", nie wnioski t. zw. sfer gospodarczych, ale wyraźny ruch w środowiskach „szarych ludzi", z którego wychodzą te ideje.

Wynika z tego odrazu naturalna konsekwencja, iż brak jest w myślach tych bliżej określonej konstrukcji *pozytywnego* programu gospodarczego, że — natomiast — w lwiej części tworzą się one na podstawie *negacji* programu obecnego. To jedno. A następnie, iż wyrastają one nie na podłożu „złych interesów", w jakie popadła klasa czy klasy określonych producentów, ale sięgają jeszcze głębiej, opierając się poprostu na *brakach konsumcyjnych* elementarnego rzędu w codziennem życiu olbrzymiej masy obywateli.

Wszystko to razem zniewala nas do sklasyfikowania nowych „myśli" nie jako jakiś nowy program gospodarczy, który przebija sobie drogę w mózgach społeczeństwa, ale właśnie jako jakiś bliżej nieokreślony odruch protestu przeciwko ciężarom codziennego życia obecnego. Świadoma polityka gospodarcza powinna uwzględniać odruchy takie tylko o tyle, o ile wogóle *można* im w jakikolwiek sposób zadośćuczynić. O ile — nie, wówczas powinnaby przejść nad niemi do porządku dziennego. Tutaj jednak sprawa przedstawia się o tyle odmienne, że *nie można* przechodzić do porządku dziennego nad odruchami, które wypływają z tak daleko posuniętej pauperyzacji olbrzymich rzesz społeczeństwa. I, jakkolwiek piszemy nasze uwagi ze zgóry zajętem stanowiskiem w meritum sprawy, wolno nam — i musimy w tych warunkach — przeprowadzić syntezę całokształtu sytuacji.

* * *

Jak można w kilku zdaniach scharakteryzować obecne nasze położenie gospodarcze? Polityka deflacji, prowadzona przez Polskę od początku kryzysu, pozwoliła na osiągnięcie szeregu zdobyczy, których wielu państwom osiągnąć się w analogicznych albo i lepszych warunkach nie udało. Waluta jest mocna, wypłacalność państwa nazewnątrz zachowana, ograniczeń dewizowych niema, aparat państwowy funkcjonuje narmalnie. To są wszystko rzeczy, których nietylko nie należy lekceważyć, ale które — zupełnie objektyw-

nie biorąc — zasługują na ocenę bardzo korzystną. Odbijają się one też w poprawie opinji o gospodarstwie naszem zagranicą (zwyżka kursów pożyczek), umożliwiają prowadzenie takiej polityki zagranicznej, jaka konsekwentnie wynika z naszych tylko potrzeb, dają nam, krótko mówiąc, odpowiedni „standing" międzynarodowy.

Nawewnątrz — działa tu tylko jedno z powyżej podanych osiągnięć: stałość waluty. Rozumie się, iż mówimy tu tylko o doraźnej sytuacji każdego poszczególnego obywatela kraju, a nie o wszystkich korzyściach, jakie wzmocnienie sytuacji międzynarodowej Polski dać może nietylko przyszłym pokoleniom, ale nawet temuż obywatelowi już w bliższej przyszłości. Jeśli jednak chodzi o doraźną jego sytuację materjalną, to z natury rzeczy polityka deflacyjna *musi* odbijać się na niej niekorzystnie.

Chodzi teraz, mówiąc znów najogólniej, o *stopień* tych ciężarów. Wiemy, iż kraje, bądź mające do wyboru politykę dewaluacji czy inflacji kredytowej i politykę deflacji, bądź nawet zaawansowane już bardzo istotnie na drodze deflacji, zagadnienie ciężarów deflacyjnych dla społeczeństwa traktowały bardzo poważnie. Wiemy, iż Stany Zjednoczone głównie z tej przyczyny nie weszły wogóle na drogę deflacji, że Niemcy po przyjściu do władzy Hitlera z nią zerwały, że Włochy przez długi czas manipulowały sztucznie, aby uniknąć jej pełnych konsekwencyj, że Francja nawet ustami swego obecnego premjera stwierdziła, iż „dalszej deflacji" prowadzić nie sposób. A przecież to kraje, w których poziom życia szerokich mas był o wiele wyższy od naszego, a co za tem idzie, ciężar deflacji stosunkowo łatwiejszy do zniesienia. Potwierdza to nasze założenie, iż o kwestji tego ciężaru mówić u nas wypada, chociażby nawet teoretycznie był on najzupełniej uzasadniony.

Jeśli chodzi teraz o konjunkturę dla gospodarstwa narodowego Polski na najbliższy okres czasu to, zdaniem naszem, można w niej zaobserwować *wyraźny wzrost*. Indeksy produkcji przemysłowej zwyżkują, stan zatrudnienia się zwiększa, przywóz (ilościowo) wzrasta również, zwłaszcza w dziedzinie surowców i półfabrykatów. Jednocześnie jednak powiększa się nadal rozpiętość cen pomiędzy produktami rolnemi i przemysłowemi, pogarszając jeszcze wydatniej sytuację wsi. Można postawić tezę, iż Polska zdołała już jako tako przejść przez depresję w dziedzinie przemysłowej, grzęznąc w niej nadal na odcinku rolnym.

Ten moment należy podkreślić szczególnie wyraziście w związku z tem, cośmy mówili o ciężarach deflacji dla społeczeństwa i wypływających z nich nastrojach negatywnych w stosunku do prowadzonej obecnie polityki gospodarczej państwa. Możnaby mianowicie twierdzić, iż indeksy konjunkturalne, wskazujące na poprawę produkcji, są wstępem do poprawy warunków spożycia, które z natury rzeczy ujawniać się przy poprawie mogą dopiero późnie.j Na przeszkodzie temu rozumowaniu stoi pogarszający się stan rzeczy na wsi. Gdyby nie on moglibyśmy z dużą dozą pewności stwierdzić, iż polityka deflacji była dobra i dobrze przeprowadzona, że wydała owoce — i że Polska, zachowawszy nietknięte wszystkie swe cele polityczne i gospodarcze nazewnątrz, może spokojnie czekać niezadługo powolnej, być może, ale zato trwałej poprawy.

Okazuje się jednak, iż kryzys rolny — z przyczyn, których nie będziemy poruszali już na tem miejscu, poszedł dalej niż się spodziewano — i że ciąży on obecnie nad całokształtem sytuacji gospodarczej w Polsce, hamując istotną poprawę i wysuwając na front hasła zmiany dotychczasowej linji polityki gospodarczej w państwie. W ten sposób uzasadnienie dla dyskusji o zmianie tej polityki musiałoby wypływać:

a) z sytuacji materjalnej olbrzymich rzesz obywateli kraju, dla których ciężary deflacyjne okazały się tak ciężkie, iż zahaczają już niejednokrotnie o ich minimum egzystencji,

b) z sytuacji najważniejszej gałęzi produkcji, jaką bezsprzecznie jest u nas rolnictwo, a gdzie sytuacja — w przeciwieństwie do innych działów produkcji — nie wykazuje nietylko polepszenia, ale pogarsza się nadal.

* * *

Zapytamy teraz krótko: jeśli mamy zmieniać politykę deflacyjną w Polsce, to w jaki sposób? Jaka ma być owa polityka inna? Albowiem może nią być:

1) *inflacja kredytowa*, której przykłady mamy zresztą w całym szeregu krajów zagranicznych. Kraje te mają jedną cechę wspólną: posiadały pewne rezerwy, gdy tę politykę inicjowały. O ile rezerwy te były zbyt szczupłe, polityka ta z niezmienną dokładnością doprowadzała do dalszych konsekwencyj w postaci bądź całkowitego bankructwa nazewnątrz i zupełnej niepewności co do dalszego rozwoju stosunków gospodarczych w kraju (Niemcy), bądź do podobnych choć mniej ostrych załamań (ostatni wstrząs włoski, który pociągnął za sobą nietylko ograniczenie obrotu dewizowego, ale drakoński zakaz całego przywozu — poprostu z dnia na dzień). Nie ulega najmniejszej wątpliwości, iż w obecnym stanie naszych rezerw prowadzenie polityki takiej musiałoby być u nas szczególnie trudne.

2) *Zawieszenie transferu i ograniczenia dewizowe.* Tutaj komentarze są nieomal zbyteczne. Pro foro interno oznaczałoby to, oczywiście, bardzo poważną ulgę w wydatkach państwowych, ponadto zaś wsparcie bilansu płatniczego przez wypadnięcie pozycji rozchodowej, która w 1933 r. sięgała bądź co bądź ok. 233 miljonów zł., nieliczac oczywiście pozycyj ruchu kapitałów, gdzie po stronie rozchodowej w kredytach krótkoterminowych pozycja wynosiła w tymże roku aż 711 miljonów. Wpływ, jaki mogłoby to mieć na naszą politykę bilansu handlowego i cały łańcuch zagadnień z nią związanych, jest widoczny. Ale też widoczne są, bodajże lepiej jeszcze, skutki, jakie tego rodzaju posunięcie mogłoby spowodować dla

kredytu naszego nazewnątrz i całej naszej sytuacji międzynarodowej — różniącej się bądź co bądź znacznie od sytuacji Niemiec, które nawet zresztą, jak się okazuje, niebardzo mogły sobie na to spalenie wszystkich mostów pozwolić...).

3) *Dewaluacja złotego.* Tu — jeszcze mniej komentarzy. Gdyby nawet, co jest nieprawdopodobne w naszych warunkach, udał się jakiś plan *ograniczonej* dewaluacji, doświadczenia zagraniczne wskazują, iż nie osiąga się obecnie posunięciem takiem żadnego z normalnie wytkniętych celów. Poprawa gospodarcza Anglji dokonała się w 1933 i częściowo w 1934 r., powiedziećby można, *pomimo* spadku funta, a już w każdym razie *nie naskutek* tego spadku. Spadek korony czeskiej nie dał Czechosłowacji nic. A w Stanach Zjednoczonych mimo dewaluacji dolara już o przeszło 40% zaczyna się mówić o konieczności „spuszczenia go jeszcze niżej", gdyż nawet przy rezerwach i możliwościach amerykańskich konkretnych rezultatów, usprawiedliwiających takie zarządzenia, brak.

To są trzy zasadnicze, naszem zdaniem, zmiany, jakimby mogła ulec nasza polityka gospodarcza. Poza niemi istnieje tylko dziedzina *deflacji*. Inna rzecz, czy deflacja ta ma być przeprowadzana tak jak obecnie, a więc z utrzymywaniem na pewnym nieprzekraczalnym ku dołowi poziomie fundamentalnych potrzeb państwowych, czy też należałoby zacisnąć obręcz deflacyjną jeszcze mocniej, przechodząc do porządku nawet ponad temi potrzebami. Mamy na myśli projekty redukcji budżetu, która jednak — zwracamy uwagę — musiałaby być olbrzymia, aby istotnie sama zdołała wywołać ewentualny pożądany efekt. Należy pamiętać przytem o skutkach tego dla bezpieczeństwa państwa, dla minimum jego potrzeb kulturalnych — i wogóle pewnego minimum potrzeb kraju, posiadającego bądź co bądź 33 miljony ludności.

Quintum — non datur. Należy wybierać z tego, cośmy powyżej powiedzieli. I niech nikt nam nie zarzuca, że byliśmy w tem wyliczeniu za ogólnikowi, żeśmy przeszli przez zbyt wiele „uproszczeń" czy niedomówień. W ostatecznym rezultacie wszystkie możliwe półśrodki, „pół posunięcia" itd. muszą się wyrazić w którejś z tych czterech ewentualności. A więc, jeśli zamierzalibyśmy odrzucić status quo, w którejś — z pierwszych trzech względnie w modyfikacji czwartej.

Problem polityki gospodarczej w okresie kryzysu dyskutowany jest od lat sześciu z niesłabnącym zapałem na całej kuli ziemskiej. Nie odkrywamy tutaj żadnych „Ameryk", a przekładamy na nasze stosunki poprostu to wszystko, co nam dane było widzieć w Europie o tych zagadnieniach. Musimy zdać sobie sprawę, iż logika faktów we wszystkich tych przykładach jest nieodparta. „Niema cudów". Każde nakręcenie konjunktury w kraju dłużniczym i pozbawionym rezerw pociąga za sobą bądź zawieszenie transferu, bądź spadek waluty — bądź i jedno i drugie. Każde obniżenie waluty z sposób sztuczny—nie daje spodziewanych rezultatów. O ile posunięcia te przeprowadzane są przez kraje o dużych zasobach, nie wyrządzają one krajom tych specjalnie dotkliwych szkód. Ale korzyści dają tylko efemeryczne.

Zagadnienie „minimum egzystencji" najszerszych warstw ludności może skłonić do rozpatrywania każdej z wyżej podanych możliwości. Ba — może nawet zyskać dla jednej czy drugiej zwolenników. Trzeba jednak zdawać sobie sprawę, iż w każdej z nich mówiąc A, trzeba będzie powiedzieć nietylko B, ale i wygłosić wszystkie pozostałe litery alfabetu, chociażby nie chciało się już ich mówić.

UWAGI

NIEDOMÓWIENIA

Punkt wyjścia artykułu p. S. Meyera w Nr. 4 „Gospodarki" stanowi teza dostosowania ciężarów publicznych do możliwości gospodarczych społeczeństwa, przeciwstawiona ironicznie zacytowanym słowom dygnitarza państwowego, że zakres potrzeb pokrywanych z budżetów publicznych nie może być ograniczony, a zatem dochód społeczny należy podciągnąć do potrzeb społecznych. Wspólną cechą obu tych tez jest zapoznanie pewnej (w każdym wypadku innej) części elementów, które należałoby wziąć pod uwagę. Chodzi o to, by nie stwarzać atmosfery życia ułatwionego wówczas gdy to się wydaje nierealne. Właściwie bowiem zeszliśmy do argumentów wytaczanych tak często przy każdej debacie budżetowej: zmniejszyć budżet, zmniejszyć udział państwa w dochodzie społecznym, zmniejszyć interwencję i etatyzm. Dobrze jeśli argumenty te wypływają z troski o przyszły stan rzeczy, jak to czyni p. S. M., gorzej — gdy pod jej płaszczykiem przemyca się poprostu chęć polepszenia sytuacji obecnego pokolenia, względnie jego odłamów. Podobny tok myślenia doprowadził w czasach przedrozbiorowych do osłabienia siły obronnej państwa, wówczas gdy Fryderyk poprzez nędzę Prus zbudował silną armję. Wprawdzie sytuacja dziś jest zupełnie różna i o sile państwa nie decyduje w tym stopniu bezpośrednia siła oręża, ale to nie zmniejsza wymowy przykładu. W ogólnej hierarchji celów politycznych zagadnienia gospodarcze niekoniecznie mają pierwsze miejsce. Autor wspomnianego artykułu wylicza dalej szereg potrzeb, które kolejno zaczęły być zaspakajane przez budżety publiczne. Zgoda: wiemy wszyscy, że wzrost zadań państwa postępuje i zapewne będzie postępował nadal (Belizarjusz straciłby dziś szybko i pieniądze i cnotę). Ale to przecie nie jest ze strony państwa jakaś specjalna złośliwość: jest to fragment ewolucji odbywającej się na szerszej płaszczyźnie, jest to rzeczywistość z którą trzeba się liczyć.

Wydaje się, że niesłusznem i niebezpiecznem jest sprowadzanie kwestji wysokości obciążeń publicznych do sprawy takiego, czy innego podziału dochodu, gdyż właściwie należałoby ją przenieść na płaszczyznę bądź zwiększenia globalnego dochodu, bądź lepszego zużycia. Problem stosunku dochodów publicznych do prywatnych nasuwa szereg wątpliwości co do stosunku podziału dochodu między różne warstwy ludności do zwiększenia całego dochodu. Powstają pytania: w jakim stopniu podział dochodu społecznego wpływa na jego zwiększenie? Czy wpływa wogóle? Konkretnie biorąc — w danym ustroju i warunkach — czy cel zasadniczy naszej polityki gospodarczej, jakim jest akumulacja kapitału, t. i. przyrost rzeczowych środków produkcji, szybszy od przyrostu ludności, da się osiągnąć równocześnie z lepszym podziałem dochodu? Inaczej jeszcze — czy podział dochodu jest skutecznem narzędziem gospodarczem do osiągnięcia wspomnianego celu? Sprawa nie jest łatwa. Spróbujmy przypatrzeć się jej nieco bliżej.

Żeby powstał kapitał trzeba albo zwiększyć pracę bez zwiększenia zaspokojenia potrzeb, albo zmniejszyć zaspokojenie potrzeb przy tej samej pracy. Nadwyżka towaru jaka stąd powstaje idzie albo bezpośrednio na tworzenie dóbr kapitałowych (np. węgiel, nafta), albo też pośrednio na utrzymanie ludzi produkujących te dobra (żywność, odzież). Jeśli wyobrazimy sobie społeczeństwo składające się z kapitalistów i robotników, które szybko akumuluje, to osiągnięcie wspomnianej nadwyżki jest możliwe tylko drogą zwiększonej wydajności dotychczas zatrudnionych robotników przy tej samej płacy, lub drogą zwyżki cen na te artykuły t. j. przez przymusową oszczędność. W rezultacie w obu wypadkach będzie to zawsze zniżka płac realnych. Zniżka płacy realnej przez zwiększenie wydajności prowadzi do zwiększenia nadwartości i stopy zysku. Tak sobie wyobrażać można mechanizm szybkiego narastania kapitału rzeczowego w społeczeństwie biednem od strony robotnika. Zresztą historja życia gospodarczego też ma tu coś do powiedzenia.

Teraz od strony kapitalisty. Oddzielić przedewszystkiem zdaje się trzeba kwestję narastania dochodu społecznego od zwiększenia jego części akumulowanej. O ile bowiem między wielkością obecnie akumulowanej części dochodu, a wielkością przyszłego dochodu związek jest dość ścisły, o tyle odwrotna zależność jest luźna: o wysokości części akumulowanej decyduje w ustroju kapitalistycznym nie wysokość dochodu i potrzeby społeczne, lecz stopa procentowa i stopa zysku. Można więc sobie wyobrazić, że kapitalista nadwyżkę dochodu albo skonsumuje, albo stezauryzuje. Można to wyrazić jeszcze w ten sposób, że przy zwiększonym dochodzie część akumulowana może, ale nie musi, proporcjonalnie wzrosnąć. W społeczeństwie ubogiem przy tym samym dochodzie część akumulowana *będzie mogła* wzrosnąć tem łatwiej, im większa będzie rozpiętość dochodów. Czy rzeczywiście wzrośnie — o tem zdecyduje spodziewana rentowność przyszłych inwestycyj, oceniana na podstawie rentowności obecnej.

Wydaje się więc, że w ustroju kapitalistycznym dążenie do bezwzględnego wzrostu akumulacji jest uwarunkowane nierównym i pogarszającym się podziałem dochodu. Na tle tej przykrej rzeczywistości wynika oczywiście, ciągła niekonsekwencja w działaniu: generalna linja zwiększania dochodu i akumulacji wypaczana jest wciąż przez posunięcia uboczne, zmierzające do łagodzenia jej przebiegu t. j. do korygowania podziału. Posunięcia te znajdują swe uzasadnienie w sferze humanitarno-uczuciowej, ale nie są słuszne, gdy chcemy je postawić na płaszczyźnie racjonalnego gospodarowania. To też w dyskusji ubezpieczeniowej stanowisko „reakcjonisty" teoretycznie jest najbardziej konskwentnem i gospodarczo najbardziej słusznem. Inna rzecz czy praktycznie takie stanowisko da się utrzymać, czy kształtowanie się naszej rzeczywistości na to pozwoli. Oponenci mają oczywiście istotną rację (występującą pod postaciami różnych argumentów), ale wątpliwe, czy w ramach tego ustroju mają rację gospodarczą.

Aktualnym przykładem może być jeszcze poruszona niedawno sprawa stosunku wsi do miasta, którą starano się uzasadnić właśnie z punktu widzenia gospodarczego, zamiast mówić o przesłankach natury społecznej czy politycznej. Oczywiście stanowisko uczuciowe do wsi jest dziś całkowicie słuszne i pociąga za sobą żądanie środków zaradczych; z drugiej jednak strony sprowadzanie całego problemu do kwestji podziału dochodu społecznego w obecnych warunkach i ustroju nie prowadzi do niczego. Uzasadnianie istnienia niezaspokojonych potrzeb wsi jest wogóle rzeczą zbędną; wiemy o tem dobrze, jak również wiemy, że obecny podział dochodu jest zły, nawet w granicach miasta. Ale cóż z tego? Głęboka antynomja ustroju sprawia, że każdorazowe korygowanie podziału odsuwa osiągnięcie wytkniętego celu, stając się prowizorjum, świadczącem o chowaniu głowy w piasek.

Zasadniczo „uprzywilejowanie" miasta kosztem wsi jest i będzie w Polsce konieczne. Jest rzeczą ciekawą, że mnożą się znaki na ziemi i niebie o zrozumieniu tej prawdy przez wieś: byłoby to wspaniałą i zawstydzającą rzecza, gdyby chłopi stali się głównym, świadomym sprzymierzeńcem i podpora w budowie polskiego przemysłu*).

Jacek Rudziński.

POŻYCZKA INWESTYCYJNA

O zamierzonej nowej pożyczce wiemy jeszcze niewiele. Wiemy, że głównym celem pożyczki, obok którego istnieją jednak i cele uboczne, jest sfinansowaniem robót inwestycyjnych, wiemy również, że projekt ustawy nosi wybitnie ramowy charakter, nie przesądzając definitywnie ani wysokości emisji, ani oprocentowania. Zresztą nawet bardziej ścisłe przepisy ustawy nie wyjaśniłyby nam, jaką drogą nowy papier ma być ulokowany na rynku,

*) Rzecz zrozumiała, że pojęcie „budowy" przemysłu jest całkowicie sprzeczne z takim stanem rzeczy, w którym uprzywilejowanie miasta jest głównie środkiem konserwacji niektórych uprzywilejowanych gałęzi przemysłu. Chodzi bowiem nie o statykę, nie o utrzymanie stanu posiadania, lecz o dynamikę.

ani też nie powiedziałyby ostatniego słowa co do zakresu i rodzaju zmian w rozmiarach robót publicznych w związku z emisją nowej pożyczki. Odnośne enuncjacje szefa Rządu są narazie jeszcze utrzymane w dość szczupłych i ogólnych ramach.

W tych warunkach omówienie zamierzonej pożyczki sprowadza się przedewszystkiem do rozważenia szeregu alternatyw. Omówienie to pragnę jedynie poprzedzić stwierdzeniem, iż samo założenie emitowania pożyczki na cele inwestycyjne wydaje mi się nietylko trafne, ale wyraźnie wynikające z aktualnego kształtowania się sytuacji gospodarczej. O ile bowiem możliwa jest dyskusja nad kwestją rozmiaru robót publicznych, jakie należy w tej chwili przedsięwziąć, (przyczem możliwa jest nawet opinja, że rozmiary te powinny być dość skromne), i o ile chłonność naszego rynku na nowy papier publiczny jest trudna z góry do określenia, o tyle sama zasada rozszerzenia ruchu inwestycyjnego — w stopniu, którego tutaj nie zamierzamy określać — wydaje się w obecnej fazie konjunkturalnej słuszna. Równie słuszny wydaje się pogląd, iż istnieją możliwości sfinansowania tych robót w drodze operacyj kredytowych.

Przejdźmy teraz do wspomnianych wyżej alternatyw. Więc przedewszystkiem jeśli chodzi o cel, o zużycie pożyczki. Rysują się tu dwa cele. Inwestycje i konwersja zobowiązań Państwa. W zakresie inwestycyj teoretycznie możliwa jest alternatywa następująca: sfinansowanie z pożyczki nowych inwestycyj, przy niezmniejszonym ruchu inwestycyjnym z dotychczasowych źródeł publicznych, albo też przerzucenie na pożyczkę ciężaru inwestycyj, jeśli się tak wyrazić można, normalnych zmniejszenie ich rozmiaru tak, iż w krańcowym wypadku całokształt robót publicznych inwestycyj państwowych mógłby zostać niezmieniony. Alternatywa tak ujęta jest nieco teoretyczna ale praktycznie liczyć się można z tendencją poszukiwania na niektórych odcinkach budżetu odprężenia, zwolnienia nacisku polityki oszczędnościowej w drodze przerzucenia na pożyczkę pewnych robót inwestycyjnych. Oczywiście, jeśli się stoi na gruncie traktowania robót publicznych jako środka łagodzącego przebieg kryzysu, należałoby zwrócić poważną uwagę na zapobieżenie temu procesowi.

Pozatem istnieje jeszcze problem *kierunku* inwestycyj, przedewszystkiem doniosły w płaszczyźnie zagadnienia, w jakim stopniu przy robotach inwestycyjnych znaleźć będzie mogła zatrudnienie ludność wiejska. Bezrobocie miejskie występuje w formach jaskrawych, skondensowanych, w postaci całkowitej utraty możności zarobkowania, a przytem koncentruje się terytorjalnie w pewnych ośrodkach o wyjątkowem nasileniu bezrobocia. „Bezrobocie" wsi, a ściślej mówiąc zjawisko przeludnienia wsi, przybiera zupełnie inne, na oko mniej jaskrawe formy pomimo, że ma nie mniejszą a raczej nawet większą skalę. Bezwątpienia, obydwa kąty widzenia, a więc zarówno dążenie do odciążenia ośrodków szczególnie dotkniętych bezrobociem ludności miejskiej, jak i dążenie do dania możliwości zarobkowania wsi, muszą zostać równolegle uwzględnione. W każdym razie jednak przy ustalaniu kryterjów podziału sum przeznaczonych na inwestycje należy bezwątpienia wziąć pod uwagę fakt jaskrawej dysproporcji pomiędzy dochodem globalnym wsi i miasta, dysproporcji, która sprawia, iż w skali dochodów wiejskich zarobki przy robotach i inwestycjach mogą odegrać szczególnie poważną rolę.

Jeśli chodzi o konwersję, to należałoby tu rozróżnić konwersję pożyczki narodowej i konwersję innych zobowiązań Skarbu. W pierwszym wypadku dokonanie tej konwersji byłoby nie bez znaczenia dla procesu konjunkturalnego, zważywszy, że obligacje pożyczki narodowej znajdują się częstokroć w słabych rękach i konwersja ich na papier rynkowy, dający się zbyć, pozwoliłaby szeregowi nabywców pożyczki narodowej na zwiększenie konsumcji, działając korzystnie na przebieg konjunktury. Konwersja innych zobowiązań byłaby w zasadzie raczej operacją o doniosłości czysto skarbowej, o ile oczywiście nie przybrałaby charakteru konwersji krótkoterminowych zobowiązań Skarbu czy też przedsiębiorstw państwowych. W tym wypadku redukując sumę kredytu krótkoterminowego na tym odcinku konwersja działałaby deflacyjnie.

Trzecią alternatywę, o równie kapitalnem znaczeniu, napotykamy rozważając kwestję sposobu ulokowania nowego papieru. Jedna droga w tym wypadku, to wykorzystanie instytucyj kredytowych oraz tych grup czy jednostek, które istotnie dysponują wolnymi kapitałami. Droga druga, to apel do szerszego ogółu, to plasowanie pożyczki w części i tam, gdzie nabycie jej może odbyć się jedynie za cenę równoczesnego ograniczenia konsumcji. Zwrócić należy uwagę, że pomimo, iż pożyczka ma być pożyczką na okaziciela, możliwości takie istnieją. Obok polityki rządowej należy tu brać pod uwagę chociażby i nastroje społeczeństwa, które całkiem niepotrzebnie gotowe jest niekiedy traktować operację pożyczkową jako okazję do ofiarności publicznej a nie jako okazję do lokaty. Rzecz prosta, że im większy będzie wśród nabywców pożyczki odsetek tych, którzy nowy papier zakupią zmniejszając swe bieżące spożycie, tem mniejszy musi być efekt konjunkturalny, tem bardziej rola pożyczki ograniczy się jedynie do wpływu na rozdział dochodu społecznego, bez uruchomiania nowych procesów produkcyjnych.

Obok powyższych zagadnień wyłania się jeszcze szereg problemów o większem i mniejszem znaczeniu. Wydaje się np., iż nie byłaby wskazana i potrzebna szczególna oszczędność przy określaniu rentowności, a więc przedewszystkiem oprocentowania pożyczki. Jeśli chcemy, ażeby każde posunięcie kredytowe zbliżało nas ku zlikwidowaniu zjawiska podwójnej stopy procentowej (jednej w kredycie reglamentowanym, drugiej w kredycie prywatnym), jeśli chcemy zdążać do ujednolicenia polskiego rynku kredytowego, to niewątpliwie i przy okazji operacji długoterminowej należy, chociażby w pewnym stopniu, brać pod uwagę rzeczywisty koszt wszelkiego kredytu w Polsce. Poważne znaczenie ma również kwestja wyboru formy: pożyczki premjowej, czy oprocentowanej. Każda z tych form odpowiada zapotrzebowaniu innej kate-

gorji nabywców, przyczem dla instytucyj kredytowych premjowanie jest formą mniej odpowiednią. Z drobniejszych problemów wymienić należy sprawę wielkości odcinka i terminu wydania obligacyj nabywającym na raty. Kategorja nabywców na raty może, (o ile ta forma zostanie wogóle dopuszczona) okazać się dość liczna, chociaż zapewne nie tak jak przy pożyczce narodowej. Przy pożyczce narodowej jako papierze imiennym mało ruchomym termin wydania obligacyj nabywcom na raty nie odgrywał roli. Przy papierze rynkowym zarówno ten termin jak i kwota minimalnego odcinka powinny być dostosowane do zasadniczego założenia: stworzenia papieru rynkowego.

c. b.

UKŁAD Z WIELKĄ BRYTANJĄ

Jak należy rozpatrywać *syntetycznie* zawarty ostatnio układ handlowy z Wielką Brytanją? — Czy — przedewszystkiem — zasługuje on na specjalne omówienie w „Gospodarce Narodowej", która przecież stara się zawsze poruszać zagadnienia najogólniejsze i nie bawić się w komentowanie skądinąd nawet ważnych faktów, o ile tylko nie wykraczają one poza granice „odcinkowe"? Odpowiedź nasza brzmi: owszem — zasługuje. Albowiem i konjunkturalnie i strukturalnie układ z Wielką Brytanją jest zupełnie czołowem wydarzeniem w naszej polityce gospodarczej.

Konjunkturalnie dlatego, że zabezpiecza on na dłuższy przeciąg czasu zbyt naszych produktów rolniczych i hodowlanych na pojemnym i pewnym rynku brytyjskim. W okresie, kiedy główną troską polityki gospodarczej Polski *musi być* walka o utrzymanie przynajmniej (jeśli uznamy sprawę *podniesienia* za zgóry przesądzoną negatywnie) cen rolniczych, zagadnienie zbytu nadwyżek rolniczych i hodowlanych zagranicą staje się zagadnieniem palącem. Jeśli chodzi o rynek, który nadwyżek tych przyjmuje rocznie za przeszło 100 miljonów zł., a więc za przeszło jedną piątą całej wartości naszego wywozu w tych dziedzinach, zbyt ten staje się, oczywiście, szczególnie ważnym. Układ, który ten zbyt stabilizuje, a — chcemy wierzyć — i rozszerza, ma znaczenie dla *całości* naszego gospodarstwa narodowego. Innemi słowy — jest układem *ważnym*.

Ale wynika z tego i dalsze zagadnienie. Wiemy, iż Wielka Brytanja się „ceni" jako rynek zbytu dla cudzych produktów — i rolnych i przemysłowych. Wzamian za dopuszczenie do korzystania z tych dobrodziejstw poszczególnych „maluczkich" dyktuje im wcale ciężkie warunki. Wielka Brytanja ma własne kłopoty (oczywista — w swojej skali kłopotów). Chce wywozić więcej swych produktów przemysłowych, pilnuje swej floty handlowej, znajdującej się w ciężkiem położeniu naskutek ogólnego kryzysu przewozów morskich, walczy o zamówienia zagraniczne dla własnego przemysłu— słowem dba o swe interesy w całej pełni. Swego czasu — w układzie gospodarczym świata z XIX-go wieku zasada wolnego handlu rozwiązywała dla niej wszystkie komplikacje. Będąc najbardziej zaawansowaną w rozwoju technicznym na kuli ziemskiej, penetrować mogła ze swym wywozem wszędzie, o ile tylko wywozu tego nie hamowano sztucznie cłami. Sama — przywozu przemysłowego z zagranicy się nie obawiała, a surowce i produkty rolne chciała mieć po cenach najtańszych. W obecnej sytuacji wolny handel nie dawał jej już nic. Konkurentów przemysłowych było zbyt wielu, wywóz musiał się kurczyć wobec cudzych ceł, których zniżenia nie można było wymusić żadnemi represjami, mając rynek całkowicie otwarty dla przywozu zzewnątrz. Protekcjonizm brytyjski przyszedł pod znakiem ochrony pewnych gałęzi produkcji własnej, ale *przedewszystkiem* pod znakiem sprzedania zagranicy tego wszystkiego, co z rynku brytyjskiego czerpała ona dotychczas zadarmo. A nikt nie jest mniej ustępliwym od neofity protekcjonizmu, zwłaszcza, o ile neofita ten zawiódł się na swej poprzedniej wolnohandlowej religji tak dotkliwie.

Polska korzystała dotychczas narówni z innemi krajami z rynku brytyjskiego „bezpłatnie". Przywóz brytyjski do Polski przychodził na ogólnych warunkach — bez specjalnych ułatwień dla „specjalności" tego kraju. Mimo wszelkich naszych ograniczeń przywozowych był traktowany przez nas możliwie liberalnie, albowiem nie krzywdzi się nigdy „dobrego klijenta". Dziś jednak za dalsze korzystanie z dobrodziejstw rynku brytyjskiego trzeba było zapłacić. O ile nas informują, ustępstwa na rzecz przywozu przemysłowego z Wielkiej Brytanji do Polski, na rzecz kolonij brytyjskich, floty brytyjskiej i t. d. i t. d. są wcale znaczne. Niewątpliwie tu i ówdzie stworzy nam to nawet nowe kłopoty.

Czy w takich warunkach należało zawierać układ? Owszem — należało. Albowiem w *hierarchji* polityki gospodarczej chwili obecnej wywóz nadwyżek rolnych jest *ważniejszy* od bardzo istotnych nawet potrzeb ochronnych naszego przemysłu. Nie wiemy, czy potrzeby te zostały w układzie naruszone — i wolelibyśmy, oczywista, aby tak nie było. Ale nawet wówczas, *gdyby tak być miało*, to i wówczas należałoby to uczynić. Wiemy, że istnieje teorja, skierowana przeciwko przymusowej zniżce cen przemysłowych w Polsce. Twierdzi ona, iż rolnictwo na zniżce tej nic nie zyska, a że natomiast przemysł, który wykazywać poczyna tu i ówdzie wyraźne znamiona poprawy, *nawróci* z powrotem do kryzysu. Nie dyskutujemy prawdziwości tych zastrzeżeń, opartych na *braku miary* w korzyść, jaką może przynieść w obecnej sytuacji rolnictwa obniżka skądinąd dlań ważnych cen przemysłowych. Ale z układem brytyjskim rzecz się ma inaczej. Tutaj jest *pewne*, że ewentualne perturbacje w naszym wywozie rolniczym i hodowlanym do Wielkiej Brytanji odbiłyby się niewątpliwie wysoce niekorzystnie na poziomie cen w pewnych dziedzinach produkcji rolniczej i hodowlanej. Natomiast bynajmniej nie jest, jak powiadamy, pewne, że nasze ustępstwa przemysłowe i inne na rzecz Wielkiej Brytanji okażą się aż tak zgubne, a, gdyby nawet tu i ówdzie nastąpiły po nich trudności, to i te trudności *opłacają się* w ogólnym rachunku strat i zysków dla naszego gospodarstwa narodowego.

W naszej polityce gospodarczej niejednokrotnie zapomina się o tej właśnie hierarchji potrzeb naszego gospodarstwa. Niejednokrotnie w „szlachetnym zapale“ buduje się konstrukcje, które właśnie „per saldo“ zupełnie się nie opłacają. Kontakty gospodarcze z zagranicą—zwłaszcza, o ile chodzi o tak poważne posunięcia jak wobec Wielkiej Brytanji,—uczą nas liczenia z ołówkiem w ręku. Wiele marzeń „ściętych głów“ zostaje wówczas oddanych na pastwę tego, co francuzi nazywają „la réalité des choses“. Nie pomoże żaden hurra-patrjotyczny frazes, żadne bezsensowne ogólniki czy zgrabne przesunięcie się po wierzchu nielogicznego wywodu. W twardem zetknięciu się z obcą potęgą gospodarczą giną wszystkie względy i względziki. *Trzeba wybierać* z dwuch i trzech ważnych rzeczy *najważniejszą*. I bronić w zasadzie *tylko* tej, albowiem wszystkiego napewno się nie obroni.

Nie można odpowiedzieć zdawkowo na równie zdawkowe pytanie: czy układ z Wielką Brytanją jest „korzystny“? Jest taki, jaki wyniknąć może z wzajemnego układu sił obu partnerów i utrzymania przez nas *właściwej linji* w całokształcie całego układu. Ta linja została utrzymana. Osiągnęliśmy to, co uznaliśmy (i słusznie...) za najważniejsze do osiągnięcia. Musieliśmy za to zapłacić — i nie należy się tego wstydzić. Darmo się na świecie nie daje dziś niczego.

Dobrzeby było formułki tej nauczyć się i u nas nawewnątrz. Formułki, zmuszającej do czynienia przy każdem posunięciu polityczno - gospodarczem krótkiego hipotetycznego rachunku zysków i strat. Ilu błędów uniknęlibyśmy w ten sposób...

m. n.

W SPRAWIE PODATKU GRUNTOWEGO

Celem zamierzonej nowelizacji ustawy o podatku gruntowym nie jest, jak już wiadomo z enuncjacyj urzędowych, zwiększenie dochodu Państwa, ani też odwrotnie, pomniejszenie ogólnego ciężaru tego podatku. Uporządkowanie stosunków prawnych, oraz anomalji z punktu widzenia teorji skarbowości — to są cele raczej uboczne. Celem głównym ma być osiągnięcie większej sprawiedliwości w podziale obciążeń. Większa sprawiedliwość, albo wogóle inna sprawiedliwość stanowi w każdym razie przemieszczenie obciążeń. Ten właśnie wzgląd wysuwany był przez lat parę jako argument przeciwko możliwości dokonania radykalniejszych zmian systemu podatkowego podczas kryzysu. Dobrze się stało, że ostatecznie uznano za niemożliwe odkładanie w nieskończoność tych reform, których potrzeba jest szczególnie paląca, tem niemniej należy przyznać, że każde nawet zgodne z ideałem sprawiedliwości (gdyby ten ideał można było zobjektywizować) przemieszczenie obciążeń posiada w dzisiejszem położeniu zupełnie inną wagę, niżby to miało miejsce przy wysokiej rentowności życia gospodarczego. Szczególnie wrażliwe na zmiany obciążeń stało się oczywiście rolnictwo dzięki nikłej dochodowości oraz pół-naturalnemu trybowi gospodarowania.

Przywiązywanie wagi do samej możliwości zniesienia obciążenia, podkreślone przez położenie konjunkturalne, ma uzasadnienie nietylko społeczne ale i skarbowe: obciążenia nie do zniesienia byłyby nierealne. Wyciągnąć stąd należy wniosek, że poza nieuniknionemi wypadkami indywidualnemi należy unikać zwiększenia obciążeń grup ekonomicznie najsłabszych oraz grup warsztatów, z przyczyn przedmiotowych nie dających dochodu.

Projektowana ustawa przesuwałaby obciążenia pomiędzy grupami społecznemi (zniesienie progresji i degresji), pomiędzy obszarami terytorjalnemi (podział na okręgi ekonomiczne zamast odrębnych dzielnicowych zasad wymiaru), wreszcie między jednostkami w tych samych grupach i okręgach (rewizja obszarów posiadania i rodzajów użytków, klasyfikacja i taryfa).

O przesunięciach międzygrupowych pisał w poprzednim numerze „Gospodarki“ p. c. k., wysuwając niewątpliwie słuszne zastrzeżenie, że zniesienie degresji podatkowej dla drobnych gospodarstw stanowiłoby właśnie pogorszenie położenia grupy ekonomicznie słabszej w jaknajbardziej nieodpowiedniej chwili, a zastąpienie jej przez nikłe minimum egzystencji nie może tu wystarczyć. Podzielając to zapatrywanie, dodałbym tylko uwagę, że zachowanie degresji nie zmusza do zachowania jej sztywności, wynikającej z uzależnienia od samego kryterjum obszaru gospodarstwa. Uzależnienie degresji od przypadającej obliczeniowo sumy podatku lepiej obroni interesy tych, którzy mają rzeczywiście najmniej.

Przesunięcia, wynikające z rewizji pomiarów i klasyfikacji, najmniej nasuwają wątpliwości. Jeżeli ktoś nie płacił od rzeczywistego stanu posiadania, albo płacił (w woj. wschodnich, gdzie nie było klasyfikacji) od najlepszej gleby tyle samo, ile inni płacili od najgorszej, to trudność płacenia w dobie kryzysu nie uzasadnia dłuższego tolerowania tego stanu rzeczy. Zresztą nie wiemy, co się zdarzyć może w przebiegu konjunktury, zanim ustawa wejdzie w życie. Jedna tylko uwaga: jeżeli spodziewamy się, że niezależnie od wahań konjunkturalnych i przypadkowych rentowność gospodarstw wiejskich będzie przez dłuższy czas niewysoka i niełatwa do uzyskania, w takim razie powinniśmy dać w przyszłej taryfie większe rozpiętości między klasami niż w wypadku, gdy spodziewamy się wysokich i łatwych do uzyskiwania dochodów. Różnica bowiem wydajności, caeteris paribus, o każdy kwintal zboża z ha może przy dużej dochodowości zapewniać na lepszej glebie rentę o 20% wyższą, a przy nikłej dochodowości o 100 i 200% wyższą, albo wogóle zachowuje jeszcze jakąś rentę, gdy na glebach uboższych ma ona wartość ujemną.

Za szczególnie ważne uważam przemieszczenia terytorjalne. Napewno system obciążeń jest obok taryf kolejowych, obok polityki inwestycyjnej i kredytowej, potężnem a niezawsze świadomie używanem narzędziem polityki regjonalnej.

Kontrasty między rejonami gospodarczemi zostały przez przesilenie bardziej jeszcze wyjaskra-

wione niż kontrasty między gatunkami gleb. Przy wysokich cenach sprzedawanych produktów różnice w kosztach transportu były o tyle umiarkowane, że okolice odległe od rynków zbytu mogły współzawodniczyć z okolicami bliższemi, pokrywając różnice niższą stopą życiową. Gdy jednak ceny obniżyły się o 2/3, a koszt przewozu nierzadko przewyższa całą cenę otrzymaną przez producenta, konkurencja staje się niemal niemożliwą. Jeżeli więc warsztaty o średnich glebach w dobrem położeniu geograficznem niełatwo dziś zdobywają się na dostateczną amortyzację zatrudnionych kapitałów, trudno sobie wyobrazić inaczej jak najżałośniej zdolność płatniczą warsztatów, otrzymujących ceny o 20 — 40% niższe ale zato płacących drożej za towary nabywane. Zapewne, oddanie na podatki znacznej części dochodu nie jest rzeczą przyjemną. Łatwiej jest jednak oddać na podatek nawet 80% rzeczywiście uzyskanego dochodu, niż uiścić nawet niższy podatek, nie mając wogóle dochodu.

Przewiduję zarzut, że mieszam rzeczowy podatek od źródła przychodowego z podatkiem dochodowym. Bynajmniej. Rozumiem, że podatkowi gruntowemu nie można nadawać elastyczności konjunkturalnej, albo go uzależniać od sprawności gospodarowania, czy od zawsze wątpliwych wyników indywidualnej rachunkowości. To byłoby sprzeczne z jego zadaniami. Z drugiej jednak strony każdy podatek, o ile nie jest płacony przez dłuższy okres czasu z dochodu i to z dochodu czystego, w takim razie niszczyć musi substancję majątkową, t. j. samo źródło podatkowe. Praktyka posługiwania się przy rozkładzie podatków od źródeł przychodowych rozmiarami surowego przychodu, a nie czystego dochodu, stanowi tylko uproszczenie, przy którem nieustannie należy pamiętać, że surowy przychód sam przez się nie mówi o zdolności płatniczej i, że proporcjonalność wymiaru podatku do surowego przychodu byłaby absurdem, gdyż ze zmianami surowego przychodu zależnemi od warunków przedmiotowych, rentowność rośnie albo maleje o wiele silniej niżby to miało miejsce przy arytmetycznej proporcji. Obszar, gdzie przeciętny surowy przychód z 1 ha jest o połowę niższy od przeciętnego, może mieć zdolność płatniczą raczej równą zeru niż równą połowie przeciętnej, bo koszty wytwarzania nie mogą się zmieniać z równą elastycznością.

W społeczeństwie naszem pokutuje w stosunku do obszarów bądź upośledzonych przez położenie geograficzne czy przez warunki naturalne albo poprostu przez historyczne zacofanie gospodarcze, skłonność do zajmowania postawy filantropa. Skoro wiadomo, że na danym terenie możliwości wygospodarowania dochodu są nikłe, — dać mu ulgę. Dać ulgowe podatki, ulgowe taryfy, ulgowe ceny. Nic fałszywego. Ta pozorna dobroczynność jest zawsze bolesna dla logiki systemu obciążeń czy cen, bo wszelkie wyjątki psują konstrukcję, natomiast samo pojęcie wyjątku i ulgi nie pozwala na dostateczny ich rozmiar i budzi niechęć innych.

Zamiast zasady rozkładu, przeciążającej słabych, czy to odnosi się do słabych jednostek, czy do słabych rejonów, w przewidywaniu łagodzenia sytuacji przez ulgi należy przyjąć odrazu podstawy wymiaru tak biorące pod uwagę rzeczywiste kontrasty położenia, aby ulgi nie były potrzebne. Różnice w regjonalnym układzie warunków gospodarczych na obszarze tak dużego kraju nie byłyby czemś wyjątkowem, nawet gydby historja gospodarcza tego kraju toczyła się jednem korytem. Procesy historyczne pogłębiły rozpiętość tych różnic, a ustawy muszą z tego stanu rzeczy wyciągnąć konsekwencje.

Jeszcze jedna strona tego zagadnienia, poruszona już, w sposób zupełnie słuszny przez pana c. k.: nasz ustrój administracyjny oraz system rozkładu zadań i źródeł dochodowych między Państwo i samorządy powodują rozkład ciężarów samorządowych, wręcz przeczący wszystkim wymaganiom polityki regjonalnej bo oparty na zasadzie: im uboższy rejon tem silniejsze należy mu się obciążenie. Jest to zbyt wielkie i zbyt trudne zagadnienie, abym się starał je rozwiązywać na marginesie projektu ustawy o podatku gruntowym. Sądzę jednak, że powinno być również brane pod uwagę przy decydowaniu rozkładu obciążeń.

— *j. p.*

AKCESORJA CENTRALIZMU

Kierunek dośrodkowy w polskiej polityce i administracji wewnętrznej jest zjawiskiem, nad którego znaczeniem i skutkami niesposób przejść do porządku dziennego. Wywodzi się on z naturalnej tendencji do scementowania ziem, rozdartych przez zabory, i jako taki jest reakcją przeciwko złej przeszłości. Reakcja — również z natury rzeczy — stała się tak silna, jak powodująca ją przeszłość rozbiorów, a przez to przekracza ona granice zdrowego umiaru.

Pożywką dla rozwoju centralizmu jest ponadto powszechny w Europie powojenny system rządzenia, wymagający trzymania „w garści" wszystkich elementów— tak w płaszczyźnie poziomej, jak i pionowej. Rola centralnych ośrodków dyspozycyj rośnie w b. silnym stopniu i wcale nie widać perspektyw stabilizacji, a tembardziej odwrócenia tego zjawiska. Ciekawe jest przytem, że tendencje dośrodkowe rosną w miarę rozwoju komunikacji, albowiem kolej, samochód, telefon i radjo sprzyjają penetracji ośrodków centralnych na peryferje i „wszędobylstwo" władzy, mieszczącej się w stolicy. Łatwości otrzymywania wiadomości o tem, co „słychać" na „prowincji", odpowiada łatwość wydawania rozkazów elementom odśrodkowym i kontroli tegoż wykonania.

Tak czy inaczej mamy do czynienia ze zjawiskiem, którego ocena może być nawet ujemna, a które mimo to wzmaga się i krzepnie na siłach. Chodzi nam więc nietyle o istotę problemu, co o jego konsekwencje i — akcesorja. O te ostatnie przedewszystkiem.

Istnieje pogląd, rozpowszechniany zwłaszcza przez „Ilustrowany Kurjer Codzienny", że polski centralizm jest synonimem nienasyconych apetytów „Warszawki", nb. nakrywającej głowę... „czapką Monomacha". Ten krakowski przytyk jest nietylko demagogiczny, ale i nietrafny, co zresztą sprawie,

o której mówimy, bynajmniej na zdrowie nie wyjdzie. Sprawcami nadmiernego tempa i zakresu centralizacji są ludzie, którzy niekoniecznie urodzili się w b. zaborze rosyjskim, w Warszawie w szczególności. Rekrutują się oni również i to w znacznym stopniu z małopolan, a więc tych, którzy powinni byli w interesie swej dzielnicy (interesów dzielnicowych nigdy lekceważyć nie należy) dbać o utrzymanie roli i prestiżu Małopolski. Rezygnując *dobrowolnie* ze znaczenia Lwowa lub Krakowa na rzecz Warszawy, postępowali oni i postępują nadal jakgdyby pod narkozą centralizacji władzy, jako głównego gwaranta „usprawnienia" i taniości. Czy to będzie chodziło o przeniesienie Bogu ducha winnego (a w gruncie rzeczy zbędnego) Państwowego Wydawnictwa Książek Szkolnych ze Lwowa do Warszawy, czy to zarządzenie, mocą którego druki państwowe ma wykonywać tylko Drukarnia Państwowa w Warszawie — wszędzie przez słowo: „Warszawa" czytać należy jedynie i wyłącznie: „stolica", t. zn. siedziba najwyższych władz państwowej administracji politycznej i gospodarczej. Nie chodzi o przewagę jednej dzielnicy nad drugą, lecz o przewagę największego miasta w Polsce nad całą „prowincją" bez względu na jej charakter dzielnicowy.

Rzecz przytem ciekawa, że przeciwko nadmiernemu centralizmowi bronią się jeszcze najsilniej Poznańskie i Wileńszczyzna, Małopolska natomiast poddała się bez wystrzału, poprostu z bronią u nogi przeszła na stronę nieprzyjaciela. Czego to dowodzi? — Osłabienia psychicznych więzów, łączących obywateli z ich ośrodkiem regjonalnym. Jak nie bez słuszności zauważył p. Wścieklica w Nr. 1 (tegorocznym) „Drogi", znaczny odłam inteligencji polskiej ziem południowo-wschodnich ma więcej poczucia solidarności z Warszawą (stolicą), aniżeli z miejscową wsią, którą powoli zaczyna opanowywać ruchliwy i nie emigrujący do stolicy element ukraiński. W Poznańskiem i na Wileńszczyźnie tego zerwania z terenem lokalnym niema.

Sprowadzanie zbyt wielkiej ilości sądów i rozstrzygnięć do wspólnego mianownika stołecznego centralizmu (przy którym nb. sama Warszawa, jako miasto, zbyt dobrze nie wychodzi) grozi spaczeniem pewnych stron światopoglądu przyszłych pokoleń i skrzywieniem oceny struktury i konjunkturalnej syuacji w Polsce. Coraz częściej ustala się pogląd, że dostać się na posadę łatwiej w stolicy, niż na prowincji, lub że stanowisko prowincjonalne otrzymać może tylko ten, kto ma „plecy" w Warszawie. Do miasta stołecznego garnie się masowo młodzież studjująca i świeżo upieczeni absolwenci prawa, medycyny i t. d. Prowincja uchodzi za straszną „dziurę", w której „szanujący się" człowiek może spędzić najwyżej wakacje. Dystans pomiędzy „wielką" stolicą a „małą" prowincją rośnie i pogłębia się, a czynnik centralny otrzymuje coraz częściej fałszywy obraz polskiej rzeczywistości. Przez stosunki warszawskie patrzy się — jak przez różowe okulary — na stan rzeczy w Wilnie, Lublinie lub Lwowie, nie mówiąc o Pińsku, Biłgoraju lub Drohobyczu. Nędza polska nie wygląda tak tragicznie, gdy się do jej odmierzania i ważenia bierze np. statystykę wpływów m. st. Warszawy z podatku od widowisk. Zapomina się o tem, że wielkomiejski asfalt przechodzi raptownie w prowincjonalną „polską drogę"...

Nastrój, o którym szkicowo wspominamy, nie ogranicza się do władz i urzędów publicznych. Panuje on w samorządzie gospodarczym, panuje w organizacjach społecznych, sportowych i t. p. „Góra" nie wyobraża sobie pracy bez zmuszania „dołu" do ustawicznych uzgadniań, „gleichschalt'owania" i t. zw. koordynacji czyli poprostu podporządkowania „dołu" wszechwiedzącej „górze"...

Jeżeli wzrost centralizmu leży na linji „trendu", to poco go przyśpieszać? Poco ten nadmiar gorliwości? Czy nie lepsza byłaby zasada: „festina lente" czyli: spiesz się powoli?... — *K. b.*

W A L N E   Z G R O M A D Z E N I E

członków „GOSPODARKI NARODOWEJ", Spółdzielni z ogr. odp. w Warszawie.

Dnia 9 kwietnia 1935 r. (wtorek) o godz. 19-ej w lokalu dwutygodnika „Gospodarka Narodowa", Szpitalna 4 m. 18, odbędzie się

DOROCZNE WALNE ZGROMADZENIE CZŁONKÓW „GOSPODARKI NARODOWEJ", spółdzielni z ogr. odp. w Warszawie,

z następującym porządkiem dziennym:

1. Zagajenie.
2. Wybór prezydjum.
3. Odczytanie protokółu lustracyjnego.
4. Sprawozdanie za rok 1934.
5. Przyjęcie bilansu oraz rachunku strat i zysków.
6. Podział czystego zysku.
7. Projekt budżetu na rok 1935.
8. Przystąpienie do Związku Rewizyjnego.
9. Zmiany statutu.
10. Wybory Rady Nadzorczej.
11. Wolne wnioski.

RADA NADZORCZA:

(—) Cz. Bobrowski.
(—) K. Sokołowski.
Warszawa, dnia 15 marca 1935 r. *(—) K. Studentowicz.*

CZESŁAW BOBROWSKI

ODDŁUŻENIE A PARCELACJA

Oddłużenie i parcelacja stanowią dwa elementy tej samej całości.

Sprawę reformy rolnej w Polsce można przez jakiś czas odkładać, ale nie można jej obejść. To jest ściślej mówiąc, możnaby ją było obejść, gdyby została zrealizowana jedna z szeregu równie nierealnych alternatyw, jak: 1) Stworzenie ujścia dla wielomiljonowej emigracji z Polski. (Pomijam ocenę takiego „rozwiązania" z punktu widzenia interesów narodu). 2) Wchłonięcie w drodze rozbudowy przemysłu dotychczasowej nadwyżki ludnościowej wsi, oraz corocznego przyrostu tej ludności, oczywiście wchłonięcie w jakimś bardzo krótkim okresie tego czasu itp. Dodaćby tu można było jeszcze parę, równie cudownych sposobów, jak np. nagłe kilkakrotne (w drodze cudu) zwiększenie zapasów wolnej ziemi, przewrót w technice rolnej, umożliwiający utrzymanie licznej rodziny z karłowatego gospodarstwa. Pozatem oczywiście istnieją jeszcze możliwości takie, jak wojna, w połączeniu z atakiem gazowym na wieś, oraz wielka epidemja, np. dżuma albo cholera w skali średniowiecznej. O ile się takich ewentualności nie bierze pod uwagę, i o ile się wie, *jak wygląda problem przeludnienia wsi,* staje się jasnem, że żadnego środka łagodzenia tej społeczno - gospodarczej klęski, jaką jest przeludnienie, a więc w pierwszym rzędzie parcelacji, nietylko pominąć, ale i odkładać nie można. Przez ostatnie lata sprawa parcelacji ucichła. Bynajmniej nie z powodu wyczerpania zapasu ziemi. „Akcja o natężeniu, przewidzianem przez ustawę z 28 grudnia 1925 mogłaby jeszcze być prowadzona conajmniej przez 10 lat, dostarczając dalszym paruset tysiącom rodzin zdrowe warsztaty". Przyczyna zamarcia państwowej akcji parcelacyjnej leżała gdzieindziej. Leżała w trudności sfinansowania tej akcji w zmienionych warunkach kryzysowych. I otóż teraz, kiedy na tle dalszych zmian w sytuacji poczynają się rysować możliwości rozwiązania tej sprawy, hamującej dotychczas postęp parcelacji, problem parcelacyjny zaktualizował się w pełni na nowo. Na czem polegają te możliwości — o tem niżej. Tu natomiast pragnę wyraźnie stwierdzić, iż świadomość tego, iż ożywienie akcji parcelacyjnej jest możliwe, istnieje zarówno po tej stronie, która do ożywienia parcelacji zmierza, jak i po tej, która pragnęłaby sprawę utopić. Wyrazem i rezultatem tej świadomości jest węzeł rozgrywki, jaka wytwarza się wokół problemu wyzyskania akcji oddłużeniowej dla przyśpieszenia postępu reformy rolnej.

Rozbieżności poglądów w tej płaszczyźnie są dość radykalne. Z jednej strony twierdzi się, że akcja oddłużenia rolnictwa, której integralną część stanowić powinna likwidacja warsztatów nadmiernie zadłużonych, oraz zmiana właścicieli w stosunku do części obszaru mniej zadłużonych warsztatów jest tylko fragmentem organicznej całości, obejmującej również planowy proces parcelacyjny. Z drugiej strony słyszymy zdanie, że „oddłużenie jako posunięcie gospodarcze, nie powinno być połączone z przebudową ustroju rolnego"*). Oczywiście każda ze stron operuje całym szeregiem argumentów posiłkowych. Zanim przejdziemy do nich, trzeba sobie jednak wyjaśnić podstawowe twierdzenie, zacytowane wyżej w cudzysłowie. Ten aprioryczny dogmat nietylko nie jest oparty na żadnych przesłankach, ale jest zaprzeczeniem kardynalnego założenia, że wszelkie posunięcia polityczno - gospodarcze powinny współdziałać ze sobą. Pozatem w tem dogmatycznem zdaniu tkwi insynuacja, że przebudowa ustroju rolnego nie jest posunięciem gospodarczem (skoro przeciwstawia się jej gospodarcze posunięcie w postaci akcji oddłużeniowej). Jest to oczywiście tylko chwyt publicystyczny, obliczony na krótkotrwały efekt, gdyż nawet dla przeciwników reformy rolnej jest ona i być musi posunięciem gospodarczem, skoro dotyczy życia gospodarczego, a nie np. badania plam na słońcu. Negatywne twierdzenie, że reforma rolna i oddłużenie nie powinny być wiązane, nie daje się bronić, poprostu dlatego, że z chwilą kiedy te dwa fragmenty polityki gospodarczej Państwa dotyczą tej samej dziedziny życia gospodarczego w tym samym okresie czasu, to nie może nie być między niemi związku. Cała różnica polega na tem, że jeżeli związek ten zostanie ustalony świadomie, to oba narzędzia mogą się nawzajem wspierać; w przeciwnym zaś razie zachodzić musi obawa, że będą sobie nawzajem przeciwdziałać. Tylko zwolennik chaosu w polityce gospodarczej mógłby konsekwentnie stać na stanowisku odłączenia sprawy oddłużenia od sprawy parcelacyjnej. A właściwie nietylko zwolennik chaosu. Na stanowisku tem może i musi stanąć ten, kto zdając sobie sprawę z wpływu ustawodawstwa oddłużeniowego w kierunku przyśpieszenia reformy rolnej, — pragnie ten wpływ osłabić, a działanie jego opóźnić.

Rzecz prosta, że wywody powyższe mogą stanowić jedynie sprzeciw przeciwko dążeniu do izolowania od siebie kwestji oddłużenia i kwestji parcelacji. Natomiast nie uzasadniają jeszcze szczególnie ścisłego związku pomiędzy obu problemami. Poszukajmy tego związku. A więc z jednej strony w płaszczyźnie akcji parcelacyjnej stawiamy sobie zadanie uzdrowienia struktury agrarnej w drodze stworzenia maksymalnej ilości gospodarstw o rozmiarze najbardziej dostosowanym do naszych warunków gospodarczych i mogących zatrudnić maksymalną ilość rąk ludzkich. Czynimy to w warunkach ostrego przeludnienia i ograniczonego zapasu ziemi. Wynika stąd konieczność ostrożnego i planowego dysponowania każdym, nawet niewielkim

*) „Czas" z dnia 7 b. m.

obszarem. Czynimy to w warunkach, ubóstwa kapitałowego w całym kraju, a w rolnictwie w szczególności. Wynika stąd konieczność unikania wszelkiego marnotrawstwa kapitału, konieczność wykorzystania w możliwie najszerszym stopniu dróg, nie wymagających odwoływania się do kredytu publicznego, konieczność wreszcie pilnego baczenia, ażeby przy procesie parcelacyjnym zasobność wsi w kapitał obrotowy nie uległa zmniejszeniu.

W zakresie akcji oddłużeniowej ta sama materja, te same zagadnienia. Celem, punktem wyjścia akcji oddłużeniowej jest i może być tylko wysanowanie tych warsztatów, które wysanować się dają i likwidacja nie nadających się do sanacji. Jest to postulat oczywiście węższy od tego, z którym mamy do czynienia przy zagadnieniu parcelacyjnem, ale zasadniczo postulat z tej samej płaszczyzny. Z płaszczyzny dążenia do stworzenia warsztatów rolnych, zdolnych do życia i pracy, dostosowanych do naszych warunków gospodarczych. W poszczególnych problemach analogja, pokrewieństwo zadań staje się wyraźniejsze. Jeżeli oddłużenie ma być akcją gospodarczą a nie anty-gospodarczym i anty-społecznym prezentem ze strony reszty społeczeństwa dla bankrutów, ustawodawstwo oddłużeniowe musi obok elementu odciążenia gospodarstw zdolnych do życia, zawierać i element likwidacji warsztatów nadmiernie zadłużonych, do sanacji się nie nadających, względnie tych, których wysanowanie przekracza możliwości Skarbu i społeczeństwa. Akcja oddłużeniowa zastępuje samoczynne procesy przystosowawcze. Zastępuje proces, który na drodze automatyzmu regulowałby się czy to w drodze spadku pieniądza, czy też układów z wierzycielami z jednej strony a bankructw z drugiej strony. I tu właśnie na tle zagadnienia likwidacji części warsztatów rysuje się jedna z zasadniczych nici, łączących oddłużenie z procesem parcelacyjnym. Nabywców prywatnych na ziemię niema, a w każdym razie niema ich w dostatecznej ilości, ażeby przejąć wszystkie warsztaty, które muszą być zlikwidowane. Jest to niewątpliwie jeden z motywów, które w obawie przed katastrofalnem załamaniem się cen ziemi przy samoczynnem regulowaniu sprawy zadłużenia narzuciły potrzebę akcji oddłużeniowej. Jest natomiast nabywca zdolny do przejęcia pod pewnemi warunkami całej podaży, jaka wyniknie z oddłużenia. Nabywcą tym jest parcelacja. Jest to przytem jedyny właściwy nabywca, jeśli mamy uniknąć chaotycznego, bezplanowego dysponowania ograniczonym zapasem ziemi.

Ta sama analogja, jeśli podejdziemy od strony kapitału i kredytu. Akcja oddłużeniowa nie może być w kraju biednym, jak Polska, prowadzona bez ograniczenia (pomijam nawet to, że w każdym kraju akcja tak prowadzona byłaby absurdem). Wierzyciel musi stracić. Zgoda. Ale nie może tracić bez granic. Państwo powinno do oddłużenia dopłacić. Zgoda. Ale nie może dopłacać bez granic. Mielibyśmy wtedy bowiem do czynienia z marnotrawstwem kapitału. Dlatego też obok pomocy państwowej i strat wierzyciela uciec się musimy w akcji oddłużeniowej do trzeciego środka — do spłaty zobowiązań, ciążących na ziemi przez tę samą ziemię, ale w rękach innego właściciela, w rękach nabywcy tej ziemi z parcelacji. A nie ulega przecież wątpliwości, że ten nowy dłużnik, przejmujący w pośredniej formie część zobowiązań dłużnika dotychczasowego, wywiąże się z nich o tyle lepiej, o ile lepiej od wielkiej własności z zobowiązań dotychczasowych wywiązuje się i może się wywiązywać (dzięki większej w zasadzie rentowności) mała własność.

Kwestja związku oddłużenia i reformy rolnej nie jest sprawą nową, a jednocześnie jest zbyt obszernem zagadnieniem, ażeby próbować je tu wyczerpać. Dlatego też nie będziemy na tem miejscu rozwijać szerzej innych analogji, ograniczając się do zasygnalizowania ich. A więc właśnie ustawodawstwo oddłużeniowe zawiera możliwości obchodzenia się przy akcji parcelacyjnej bez nowego kredytu długoterminowego (przynajmniej w części). Możliwe jest uiszczanie zapłaty za ziemię, przejmowaną na rzecz parcelacji czy to w listach PBR lub w rencie ziemskiej, czy to w postaci umorzenia zaległości danin publicznych. Postulat nie ogołacania rolnictwa z kapitału może być przypadkowo sprzeczny z interesem indywidualnym jakiegoś dłużnika rolniczego, który pragnie to, co mu po uregulowaniu długów zostanie ulokować gdzie bądź byleby nie w rolnictwie. Natomiast postulat ten jest oczywiście równie na miejscu w polityce parcelacyjnej jak i oddłużeniowej, dla której jest nawet punktem wyjścia.

Problem związku oddłużenia i reformy rolnej nie został tu wyczerpany. Cały szereg rozważań na te tematy znajdzie czytelnik w artykułach p. Poniatowskiego i moich, drukowanych w latach 1933—34 w „Gospodarce Narodowej". Między innemi odnajdzie tam czytelnik tezę, iż nasze ustawodawstwo oddłużeniowe w niedostatecznym stopniu uwzględniło ten związek, nie dość ściśle połączyło oddłużenie z parcelacją. Jeśli chodzi o kontr-argumenty, to będą jeszcze miał okazję do nich powrócić, zapewne w najbliższym numerze „Gospodarki". W tej chwili na zakończenie moich wywodów, pragnę raz jeszcze stwierdzić, że akcja oddłużeniowa stwarza najsłuszniejsze kryterjum dla ustalania kolejności majątków, które powinny być parcelowane,—kryterjum ich stanu finansowego — i stwarza możliwości przeprowadzania parcelacji z możliwie najmniejszem angażowaniem się w nowe kredyty. Niezależnie zatem od woli ludzkiej, a drogą samej logiki faktów, jest ona środkiem, sprzyjającym postępowi parcelacji. I dlatego właśnie, chcąc uniknąć postępu parcelacji, z niektórych stron wysuwa się żądanie izolowania od siebie tych dwóch problemów.

NOTATKI

POSTĘP GOSPODARCZY

1) Pomiędzy dwoma znanemi ośrodkami gospodarczemi (rolniczym i przemysłowym) na przestrzeni około 200 km. zorganizowany został, ściśle wzdłuż linji kolejowej, stały przewóz towarów za pomocą chłopskich furmanek. Co 30 — 40 km. znajdują się stacje konne, gdzie, zależnie od charakteru towaru. bądź przeładowuje się go na inną furę, bądź też tylko przeprzęga się konie. Uczestnicy tak zorganizowanej spółki przewozowej, dysponują na każdej „stacji" kilkoma parami koni, obowiązani są do obsługiwania „linji" w ciągu całych 24 godzin; ruch w obu kierunkach trwa bez przerwy dzień i noc.

2) W jednej z okolic, odznaczających się szybkim w ostatnich latach postępem pod względem techniki rolniczej, popyt na narzędzia rolnicze, zwłaszcza pługi, odpowiadające nowoczesnym wymogom uprawy, — utrzymuje się nadal silnie. Wobec wysokich cen wyrobów fabrycznych, zapotrzebowanie rolnictwa pokrywają w największej części miejscowi kowale; wyroby te rzecz jasna wykazują znaczne braki, co niewątpliwie w razie dłuższego trwania podobnego stanu rzeczy ogólnie biorąc musi się przyczynić do obniżenia kultury rolnej. Obawiając się tego, miejscowa organizacja rolnicza występuje z inicjatywą urządzenia kursu dla kowali wiejskich, który będzie miał na celu dać jego uczestnikom podstawowe wiadomości z zakresu nauk o narzędziach rolniczych oraz techniki ich wyrobu.

Tego rodzaju fakty zapewne nie są odosobnione; pozwalają one na zrobienie spostrzeżenia, że zagadnienie zamykania „nożyc" zaczyna się przenosić na inną płaszczyznę. Ludność rolnicza przestaje liczyć na efekt targów o obniżkę cen związanych, targów przynoszących zniżkę, przypuśćmy o 10%, przy znacznie większym spadku cen artykułów rolniczych. Ludność rolnicza zaczyna ujawniać aktywność, — w oparciu o własne siły w samowystarczalności szuka drogi wyjścia; nie chce korzystać z usług gałęzi gospodarczych, którym brak woli (popartej własnym interesem), do przystosowania się do naszych możliwości gospodarczych.

Dopiero w oświetleniu powyższych przejawów życia gospodarczego zrozumieć można trafność spotykanych dość często opinji, że system karteli i cen związanych „doprowadza do obniżki cen i wpływa na zwiększenie zatrudnienia". Zdumiewa przenikliwość tych twierdzeń — ujawnia się ona prędzej niż możnaby się było tego spodziewać. Jeżeli tą drogą pragnie się wzmocnić gospodarczo wieś — tężeje ona organizacyjnie, zwiększa się zatrudnienie, wzmagają się zarobki, — to jednak czy z punktu widzenia mocarstwowoś i gospodarczej nie jest ta droga zbyt kosztowna?

S. S.

STRASZNY DZIADUNIO

Nie będąc dziennikiem, lecz dwutygodnikiem, „Gospodarka Narodowa" nie omawia tak drobnych i lokalnych zdarzeń, jak np. przemówienia parlamentarne. Jeżeli mimo to chcemy niniejszą notatkę poświęcić „spiczowi" p. senatora Dobrzyńskiego (4 b. m.), to usprawiedliwia nas ogólna tonacja reakcji t. zw. opinji publicznej na zagadnienia, związane z rzemiosłem. Trudno słyszeć w głosie p. senatora właściwy vox populi, nie można jednak zaprzeczyć, iż poglądy jego znajdują dużo zwolenników i że nawet laicy w sprawach rzemieślniczych podobnie myślą, mówią i piszą.

Zacznijmy od momentów słusznych. Niezupełnie minął się p. senator z prawdą, gdy wykazał rozbieżności pomiędzy spadkiem dochodowości warsztatów rzemieślniczych a spadkiem globalnej sumy ciężarów podatkowych i ubezpieczeniowych. Niestety, nie jest to jakiś wyjątek, lecz zjawisko ogólne, tem nie mniej — niepocieszające. Nie będziemy również polemizowali z p. senatorem, który twierdzi, że z "biurokratyzmem i łamigłówką obliczeniową ubezpieczalni" nie może dać sobie rady rzemieślnik, nb. nie mający prawa do korzystania z jej świadczeń. Ale i tutaj powiemy: niestety — nie on jeden! Nie wyrazimy również oburzenia z powodu ostatniego zdania w przemówieniu p. sen. D.: „Należy odpowiednio skreślić zadłużenia podatkowe i ubezpieczeniowe". Przeciwnie — realizacja tego postulatu w odniesieniu do *wszystkich* małych warsztatów pracy (rzemieślniczych, kupieckich i handlowych) jest nadal aktualna.

Gotowi jesteśmy p. senatorowi przyznać rację jeszcze w dwuch punktach, bynajmniej nie takich drobnych, jakby się zdawało. Chodzi o Bat'ę i o więzienia. Wątpimy, żeby dyrektor departamentu Ministerstwa Przemysłu i Handlu miał się wyrazić, że „woli zorganizowanego Bat'ę, niż 200.000 niezorganizowanych szewców", ale skłonni jesteśmy mniemać, że taka jest w Polsce „communis opinio", na której kształtowanie się pozostały nie bez wpływu t. zw. mentalność inżynierska i prymitywny „kult maszyny". Jeżeli zaś chodzi o problem pracy więźniów, których wyroby na terenie administracji wymiaru sprawiedliwości otrzymały monopol zbytu z pogwałceniem interesów rzemieślniczych, to całkowicie podzielamy oburzenie p. senatora i — odsyłamy go do notatki, umieszczonej w zeszłorocznym Nr. 22 „Gospodarki".

Ale teraz to już nasze drogi się rozejdą, pan senator bowiem zaczyna grać rolę „strasznego dziadunia" i próbuje wzniecać przestrach i popłoch w społeczeństwie. Co gorsza — używa do tego celu rekwizytów, mało zachęcających i przekonywujących.

A zatem nie jest prawdą (że użyjemy stylu „sprostowań"), jakoby znowelizowana ustawa przemysłowa „odebrała szereg uprawnień gospodarczych kilkusetletnim organizacjom rzemieślniczym, jakiemi są cechy..., osłabiła społeczne organizacje rzemieślnicze, a na ich miejsce wprowadzi-

ła nowe organizacje, t. zw. związki gospodarcze...", natomiast prawdą jest, iż: a) nie było co odebrać gdyż poza b. dzielnicą pruską, gdzie istniały *przymusowe* cechy i ich związki, cechy absolutnie nie interesowały się „uprawnieniami"(?) gospodarczemi; b) cechy, powołane do „obrony i możności skupiania się zawodowego", o czem również wspomina p. senator, istnieją nadal równolegle do rzemieślniczych związków gospodarczych; c) te ostatnie do dziś dnia (pomimo, że od uchwalenia noweli minął już rok) nie zostały nigdzie zrealizowane, co dowodzi, że nietylko nikomu nie przyszło do głowy narzucanie rzemiosłu przymusu, ale nawet nie odważono się na nieprzetrawione, nieprzemyślane *eksperymenty* w sensie dobrowolnym. Jeżeli zaś chodzi o ten nieszczęsny przymus, to możemy upewnić p. sen. D., że ogół rzemieślników bynajmniej przymusu organizacyjnego nie potępia, bo widzi (obok złych) także i dobre jego strony, a zresztą w b. zaborze pruskim i austrjackim z przymusem cechowym oswojono się i nikt tam dzisiaj nie ma o to pretensji do czynników *zaborczych* (przepraszamy za tę nutę nieuniknionej „wiecowości").

P. sen. D. gniewa to, że wymienionym związkom będzie się „przekazywało" dostawy i roboty, jakby tego nie można było zrobić wprost. Ależ nie chodzi tutaj o formę, tylko o treść: obojętne, czy dostawę dostanie związek, spółka lub warsztat indywidualny, byleby tylko ją otrzymał. Jeśli tak się nie dzieje — to nie wina rzemiosła i jego samorządu, lecz znowu tej „mentalności inżynierskiej".

Następnie — sprawa nowych kadr rzemieślniczych. Pan senator wietrzy w taktyce izb rzem. filosemityzm, polegający na masowem rzekomo przyznawaniu ulg (t. zw. „dyspens") wyłącznie dla elementu nie polskiego. Mój Boże! Łatwo to powiedzieć: nie dawać ulg, bo z tego skorzystają żydzi, gdy przed drzwiami izb rzemieślniczych stoją tysiące t. zw. fuszerów, rekrutujących się tak z małomiasteczkowego „ghetta", jak i z mało- czy bezrolnego proletarjatu *wiejskiego*. „Odwalać" wszystkich (a wiemy, że taka polityka uśmiechałaby się nawet niektórym „sanacyjnym" izbom) — byłoby to równoznaczne z zamknięciem rzemiosła na cztery spusty i ze stworzeniem niebezpiecznego socjalnie i gospodarczo wrzodu, który, pękając, zalałby i chroniące się przed nim rzemiosło.

Wreszcie — kwestja szkolenia nowych pokoleń rzemieślniczych a... biurokratyzm. P. senator skarży się, że pod naciskiem „wszechpotężnego biurokratyzmu" czyli władz państwowych (?) szkoli się mniej przyszłych fachowców, a warsztaty zanikają. Jeżeli taki skutek rzeczywiście ma miejsce, to przyczyna jego jest zgoła inna, niż ja sobie p. senator wyobraża: tworzy ją pauperyzacja ekonomiczna rzemiosła w wyniku ogólnego kryzysu, wpływa na nią usuwanie przez majstra czeladników i uczniów, którzy się potem usamodzielniają, pomaga jej chałupnictwo, przyspiesza je wreszcie niski poziom samego rzemiosła. Czy zaś istotnie zanikają warsztaty rzemieślnicze — to jeszcze pytanie. A zresztą, jeżeli nawet zniknie ten i ów rzemieślnik, to jeszcze nie dowód, że społeczeństwo cofnęło się w swym rozwoju. To nie jest wcale takie proste,ale tego ani w notatce, ani w przemówieniu parlamentarnem wyjaśnić nie sposób.

j. gozd.

SUMIENNY OBYWATEL

Mówiąc o podatkach, możemy albo płakać albo się śmiać. Wybierzmy to drugie.

Pewien obywatel b. dzielnicy pruskiej, człowiek równie zamożny, jak i poważny, płacił podatki. Niema w tem nic dziwnego: każdy płaci. Ale on to robił w całkowitej harmonji z wielkością obrotów i dochodów. Ile zarobił — tyle zeznał. A ktoby nie wierzył, mógł sprawdzić w prawidłowej księgowości sumiennego obywatela.

Urząd skarbowy był jednak nieufny i sumiennemu obywatelowi nie dowierzał. Do obrotów i dochodów, podanych w zeznaniu, dorzucał to kilkanaście, to kilkadziesiąt procent — i z każdym rokiem więcej. Sumienny obywatel protestował, wyjaśniał, udowadniał — urząd skarbowy był nieubłagany. Niedarmo sumienny obywatel cieszył się opinją człowieka zamożnego. Niech więc płaci...

I gdyby nie przyjaźni a doświadczeni sąsiedzi, nasz bohater pokrywałby nadal swemi dochodami uszczerbek. wywołany złą konjunkturą. Poradzono mu jednak, aby wystawił kilka weksli na drobne kwoty i — horribile dictu — dopuścił je do protestu. Sumienny obywatel, który tak podatki, jak i zobowiązania płacił punktualnie co do grosza, przemógł z trudem swe przyzwyczajenia. a to go, rzecz prosta, zaprowadziło na „czarną listę".

Skutek? — Urząd skarbowy, wiedząc, że sumienny obywatel nie ma na wykupienie weksla za 100 złotych, umorzył mu część podatków, część zaś rozłożył na raty. Est modus in rebus...

z. i.

REDAKTOR ODPOWIEDZIALNY I WYDAWCA W IMIENIU SPÓŁDZIELNI „GOSPODARKA NARODOWA" CZESŁAW BOBROWSKI

SEKRETARZ REDAKCJI ZOFJA CIECHOMSKA

ADMINISTRACJA CZYNNA CODZIENNIE OD 11 DO 13

REDAKCJA I ADMINISTRACJA: SZPITALNA 4· TELEFON 676-73 KONTO P. K· O. 25.656

PRENUMERATA KWARTALNA 4 ZŁ. 50 GR. ZAGRANICĄ 6 ZŁ. CENNIK OGŁOSZEŃ NA ŻĄDANIE.

Druk. Piotra Laskauera, Warszawa, Marjensztadt 8.